

Jonatana Brentano, którą nie mógł się przejąć Barabasz, znajdowały się tu fakty, opowiadane mi już przez Joego. Nauczyłem się z tego jednej tylko rzeczy, a mianowicie, bym nie ufał zbyt swym wyobraźni. Znajac już bowiem cynizm amerykańskiego milionera, posądziłem go o otrucie własnej żony. Byłem prawie przekonany o tem, a tymczasem z dokumentu tego okazuje się zupełnie co innego. Doznałem z tego powodu jakby pewnej ulgi. Natomiast stanowisko Williama względem Joe Duncana, wydało mi się teraz bardzo dziwnem.

Ja sądziłem, że Joe zabił Nelly i Brentana, jej kochankę... a obecnie przekonałem się, że co do Nelly byłem w błędzie.

William uważał przez dłuższy czas swego ojca za mordercę Jonatana... Teraz musiał się przyznać do swej pomyłki, ponieważ Jonatan Brentano żył dla niego w postaci rzeźbiarza Barabasa.

— Wobec tego — rzekłem poważnie — sprawa cała nabiera dla nas obojga zupełnie innego znaczenia.

— Nie rozumiem dobrze.

— Widoczne jest dla mnie, że nie kochasz Joego, którego tyranę musiała znosić twoja matka... Przyznasz jednak, że odkąd mnie widzisz, nienawisć, jaką żywisz dla niego, straciła wiele ze swych podstaw.

— Zgadza się. Wyznam nawet, iż nienawisć ma zamieniła się w obojętność... Lecz co się ciebie, ojciec, dotyczy...

— Och, ze mną jest inaczej... Znasz powody, dla których od dwudziestu lat byłem dla całego świata jakby umarły. Powtórzę ci jeszcze... Gdym cudownym prawie sposobem wy dostał się z wód Niagary, skąd ja pierwszy wyszedłem żywy, miałem przed sobą dwie alternatywy. Albo wrócić do Nowego Jorku i zająć swe miejsce w spółce albo też zniknąć bez nadziei napowrót... Ze względów moralnych wybrałem to drugie... Przez matkę twoją zostałem uprzedzony w San Francisco, iż Joe wie o wszystkim! Doznałem wyrzutów sumienia, iż zrujnowałem spokój domowy człowieka, który był moim przyjacielem, a który obecnie mógł zostać tylko moim nieubłagany wrogiem... Nie z tchórzostwa postanowiłem usunąć się, lecz w ten sposób chciałem naprawić swą winę... Sądziłem, iż, gdy mnie nie będzie, może zapanuje między nimi zgoda. Przyznasz sam, iż potrzeba było pewnej dozy zaparcia się siebie, by zacząć życie na nowo, pracować jak robotnik w Kalifornii, narażać się na ciągłe niebezpieczeństwa, znosić biedę i nędzę. I wytrwałbym w swym postanowieniu i nigdy nie wróciłbym do Nowego Jorku, gdyby opinia publiczna nie zwiódła mnie tak, jak i twą matkę...

Potrząsając przed oczami Williama tym pożółkłym papierem, mówiłem dalej:

— Ten testament pozwala mi obecnie na wyznanie, którego się wstydzę. Powróciłem w zeszłym roku niejako na świat, by pomścić twą drogą matkę. Dowiedziałem się przypadkowo w Filadelfii, iż Joe został wdowcem... a jak opinia publiczna twierdziła, on sam ją otrul w sposób tak tajemniczy, iż sprawa ta nie została wyjaśniona. Ani na chwilę nie wątpiłem o prawdziwości tych pogłosek...

— I ojciec zjawił się na nowo — przerwał podniecony mem opowiadaniem William — z tym tylko zamiarem, by...

— By pomścić twoją matkę — powtarzam ci — jak ty, drogie dziecko chciałeś pomścić na nim śmierć swego ojca!

— Ojciec mój! ojciec! — zawołał wzruszony William. Masz rację!... Sprawa ta jest przykra dla nas obojgu!... Nie możemy poważyć Joe Duncana!... lecz z drugiej strony nie możemy żywić ku niemu inenawisści, ponieważ nie jest on ani twym mordercą, ani matką!...

— Więcej jeszcze! — rzekłem poważnie, odgrywając aż do końca swą rolę. — Zmuszeni jesteśmy odczuwać dla niego litość...

— Tak, tak!... Litości właśnie.

— Litość, wynikająca z wyrzutów naszych!

— Z naszych? — powtórzył William zdziwiony.

— Naszych, ponieważ go zniesławiliśmy.

— Nie mów tak, ojciec — przerwał William.

— Trzeba mieć odwagę wyznać wszystko, mój synu... Zapomnieć muszę o swych osobistych uczuciach, jakie mnie ożywiały przed dwudziestu laty, a przyznać się, że prawdziwą ofiarą tego dramatu jest Joe Duncan!

Z głową opuszczoną, z miną zasmuconą, młody lekarz szeptał:

— Tak, to prawda.

Rozmowę naszą przerwał dzwonek od telefonu... Podbiegł do niego.

— Hallo!... jak?... ojciec nie przyjdzie?... Hallo!... Bardzo mi przyko... Tak... Do widzenia.

Załóżyl słuchawkę i rzekł z zadowoleniem:

— Nie przyjdzie dziś na herbatę... bardzo się z tego cieszę... tak, bardzo się cieszę! A ty, ojciec?

— Williamie — odrzekłem — nie przyzwyczajaj się nazywać mnie tak!... Mów do mnie wprost, Jonatanie... Tytuł ojca zostaw dla tego człowieka, którego uczyniliśmy nieszczęśliwym... Należy mu

żyłem z pewnym niepokojem... Winien byłeś uprzedzić mnie o tem, Williamie.

— Marcadian zna nasz wzajemny stosunek. Wtatemniczyłem go we wszystko.

— Ale zrobisz! — odpowiedziałem niechętnie.

— Ewelina bardzo chciała cię poznać.

Nie wiedziałem sam, co mam uczynić. Chodziłem bez celu po salonie, nie mogąc nic postanowić... Mam więc zobaczyć swą córkę!... Serce zaczęło mi bić silnie w piersiach.

— Oto i oni! — rzekł William, pospieszając ku drzwiom.

Skierowałem się instynktownie w najciemniejszy róg salonu i tam usiadłem. Otworzyły się drzwi i służący oznajmił przybyłych. Ewelina ze smutnym uśmiechem na ustach wydała mi się w swych żałobnych sukniach, raczej jakimś zjawiskiem, niż żywym człowiekiem. Długie, czarne fałdy sukni, nadawały jej postaci wyraz jakiejś dziwnej powagi i spokoju, czego nigdy przedtem u niej nie widziałem. Poza czarną krepową woalką, zapuszczoną na bladą twarz, oczy jej świeciły jakimś nowym blaskiem.

Wystarczył mi jeden rzut oka, by przekonać się, jak bardzo młoda jej dusza dojrzała w cierpieniu. Zaszła w niej decydująca zmiana... Utraciła swą dziecięcą pustotę, zgasł jej najwzrost urok młodego dziewczęcia, lekkość w niej ustąpiła miejsca poważnej rozwadze!... Ze sposobu jednak podawania ręki Williamowi Duncanowi, z jej uśmiechu, pełnego smutku i czułości, domyśliłem się, że nie tylko boleść tu działała, lecz i miłość odegrała ważną rolę w tem przeistoczeniu się mego ukochanego dziecka.

Ewelina zwróciła się do mnie z wdzięcznym ukłonem, na który odpowiedziałem bez zakłopotania. Wzrok jej zatrzymał się na mnie przez jedną tylko chwilę, gdyż zaraz skierowała się w drugą stronę pokoju; nie mogła ukryć odrazy, jaką wzbudzała ma twarz. Zdolna przestraszyć każdego. Natomiast Marcadian pospieszył ku mnie z wyciągniętymi rękami.

— Jak pan się czuje, master Brentano? Jest pan teraz szczęśliwy!... Master William wyznał mi wszystko... Proszę, niech pan uważa mnie za człowieka, w zupełności sobie oddanego, za prawdziwego przyjaciela!... Ach! życie dla wszystkich jest jednakowe... Życie jest tylko jednym łańcuchem następujących po sobie boleści!

— Dlaczego mecenas tak twierdzi? — zaprotestowałem, wskazując na Ewelinę i Williama, którzy stali przy oknie, zapatrzeni w siebie.

William trzymał za rękę Ewelinę, a z ust jego płynęła jakaś prośba, jakby pieśń miłości.

— To prawda! — rzekł Marcadian — i to jest moim dziełem.

— Winszuję go panu!

— Bywają chwile, gdy wierzę w konieczność nieszczęścia w życiu!... Czy zna pan historię Eweliny?

— Tyle co i William... co Joe... co wszyscy, chociaż mam swe osobiste zdanie o tym dramacie...

— Osobiste zdanie? — zdziwił się Marcadian, przypatrując mi się od stóp do głowy...

Służący zaczął podawać herbatę... Zbliżyli się ku nam William i Ewelina... Marcadian podsunął mi cukiernicę... córka przyglądała mi się teraz z mniejszym przestachem, a za to z litością w oczach... Zamieniłem kilka zdań po angielsku z lekarzem, co wywołało tę uwagę Marcadiana:

— Mówi pan po angielsku z akcentem mego nieszczęśliwego szwagra, lecz daleko czyściej i płynniej...

— Tak — zawołała młoda panna, opuszczając głowę z twarzą, zasmuconą tem wspomnieniem. W brzmieniu głosu jest jakieś podobieństwo...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Proszę — znalazłem ten testament, rzekł podając mu złożony pożółkły papier.

się to!... Pomylił się kiedy; raz mówisz „mój ojciec” mnie, drugi raz jemu.

— Sprawia mi to tak wielką przyjemność!

— Trudno, inaczej nie można — nalegałem. Zdradzisz się kiedy mimowoli.

William, przejęty swymi myślami — powtórzył:

— Cieszę się, że nie przyjdzie!

Ja pragnąłem czego innego. Chciałbym, by przyszedł — myślałem. — Chciałbym, by był tutaj za portyera i zdał sobie sprawę z mej skrupulatnej uczciwości, jaką okazuje, odgrywając włożoną na siebie rolę.

William podszedł do stołu, na którym służący postawił poprzednio serwis do herbaty i zabrał z niego jedną filiżankę. Pozostało ich jeszcze cztery...

Wskazując na nie palcem — zapytałem:

— Czy zaprosiłeś jeszcze dwie osoby?

— Tak... chciałem ci zgotować niespodziankę.

— Jaką?

— Marcadian przyrzekł mi przyprowadzić po raz pierwszy narzeczoną! — odparł uśmiechnięty... Zobaczysz Ewelinę, Jonatanie! Jest to jedna z najpiękniejszych panien, prawdziwy skarb wdzięku i dobroci.

— Obecność moja może ją krępować, — zauwa-